



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ERGO SUM.

Jestem, bo walczę, i cierpię, bo żyję,
Lecz pośród walki, pracy i cierpienia
Z jakiegoś źródła odwiecznego pije
Cudną potęgę istnienia,
I czuję, jak mi w młodych żyłach bije
Głęboka fala natchnienia.
Serdecznych przeczuć słuchając przestrogi,
Tam pójdę, gdzie mnie obowiązek woła,
W zamęcie walki nie uchyle czoła
Nie zmylę drog!i
Nie, ja się nie dam zbłąkać tym manowcem,
Którym bezpłodny wasz pesymizm dąży,
Ani płomienia przywalić lodowcem
Co w koło źródeł wrących głucho krąży
I gdzie się tylko ogień tlić zaczyna—
On już w iskierce zapal serca ścina!
Nie, ja nie jestem tym bladym schyłkowcem,
Co wyczerpany życiem bez zasługi,
Znudzony sobą bez pracy wysiłku,
Typ wieku widzi w swoim biednym pyłku,
I w nerwów swoich poszarpanej przedzy
Szarpiać się, w życia bezowocnej nędzy
Społeczne zostawia długi.
Nie, ja nie jestem tem wieku dziecięcym,
Które wydała chwila czasu mętna,
Co pod ogólnej zarazy dotknięciem
Wzięło na czoło swe upadku piętna,

Nie, ja nie jestem starcem swego czasu,
W którym typowo wszystko zło zakrzepło,
I zaniechawszy wszelkiego zapasu,
Z tem złem, duchowe zgasił w sobie ciepło.
Oh, nie! ja jestem z kończącym się wiekiem
Mojego wieku i czasu—młodzieńcem!
Pełnym trzeźwego do życia zapалу
Z zdrowym na licu rumieńcem.
Ja jestem siebie świadomym człowiekiem
Dążącym do ideału!
Jestem odważnym, wytrwałym szermierzem
Na drodze pełnej mroków i trudności,
Który swej prawdy hartownym probierzem
Rozstrzyga matnie sprzeczności.
Ja idę naprzód, z pełnym w sercu ruchem
Wielkiej miłości co w końcu zwycięża
I pewny woli swej wolnej oręża
Jam sobą ciałem i duchem!

Szczesna.

POGA WĘDKA.

Mgła, deszcz, chłód i mróz i znowu słońce i piękna pogoda, tylko że termometr obniżył się o stopni kilka i że rękę się zatrzymała na kresce piątej wyżej zera według Reaumura.

Oto zmiany, jakie zaszły w powietrzu w ciągu ostatnich dwóch tygodni, wróżby, może jeszcze długiej i pięknej lecz chłodnej jesieni, heroldy zimy, która, jak czytaliśmy w jakimś specjalnym piśmie,

według danych meteorologicznych, będzie śnieżną i mrozną.

Rozpoczęły się więc znowu dni słoneczne, ale poranki świecą bielą zamrozi, potnijące szyby okien, każą nam wziąć się do szelznego opatrunku mieszkania i zwrócić spojrzenie na piec i kominek, przy którym z pewną lubością wygrzewa się starość, a młodość figluje, widząc w rozsypujących się popiołach i żużlach przepalonych, strzelających gdzie nie gdzie jeszcze błękitnawym płomykiem ognia—ruiny baszt i zamków, pożary miast zapadających się w gruzy, jakąś żywą tragedję pojawiającą się co dzień, co godzina!.

Któż z nas w latach dziecińczych nie marzył podobnie przy dopalającym się ognisku na kominie?

Wiele więc razy zabłyśnie ten płomyk pierwszy i złotym wężykiem strzeli, ostrym językiem żmii zacznie kasać drewno suche i wyciskać z nich łzy żywiczne — przypominają się wnet owe marzenia dawne.

Kominek, kto go zna tylko, jest prawdziwym przyjacielem człowieka, przyzwanym na wieczory zimowe gawędziarzem, bajarzem czarodziejskim. O czym się zapomniało—on przypomni,—niejedną umilkłą strunę w twem sercu—on rozbudzi i choć sam jesteś jak palec, rozmawiać z nim będziesz w milezeniu tajemniczym o wszystkim, o wszystkich.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku,
Siedziesz, nim muzyk taniec zapowiedział
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie...

Tysiąc marzeń, wspomnień tysiąc, niewołanych, zostawionych gdzieś, gdzieś w dalekiej krainie przeszłości otoczą ciebie rojem mar i widm splotem...

Jedno dziwactwo snuje mi się w tej chwili po głowie, lecz cóż mi szkodzi wspomnieć o niem przed wami?... Czy się nie znamy? czy się znamy

od dziś dopiero?... wszak nieraz już z wami niejedną przegawędziłem godzinę, ba! ani się spostrzegło, jak lata minęły... Stary druh ze mnie, przyjaciel dawny, który wam niejedną już rzecz wypowiedział, z którym nie pokłóciliście się ni razu—przeciwnie, mam niejedną od was pamiątkę w listach pisanych, dowód ufności, przyjaźni szczerzej, zrozumienia się wzajemnego i uczuć bratnich. Więc...

Więc przebaczyć mi może i dzisiejszą myśl dzwaczłą...

Ot, mówiąc o kominku, pomyślałem, że ten, który buduje dom sobie, a w przeznaczonym wyłączone dla siebie pokoju o tym kominku zapominał—myśli o dniu dzisiejszym tylko, nie przywiązuje wartości do wspomnień dawnych, dla nowych—nie nie przygotowuje.

Czy to nie dziwactwo?...

Tak!...

Ot—tak i nie!...

Przy kominku najpiękniejsze sny się roją, z nim razem jest pewna tradycja związana; ten kominek jest taki nasz, że kto go nie lubi, mimowoli obojętniejszym mi się staje, dalszym, niby nie z jednej gliny ze mną ulepiony.

I znów dziwactwo!...

Nie przeczę, nie przeczę—lecz zawsze jedno drugie za sobą pociąga—taką jest logika następstw.

Nie wiem dlaczego, lecz zapoznając się z domem jakimś szukam naprzód—kominka.

A—jest!...

Lżej mi, weselej się robi— — Już widzę przy nim siedzącego pana domu, słyszę, jak w godzinach wieczornych rozmowa się toczy, jak wspomnienia, choć mi nieznane jeszcze, obsiadają go do koła. Po tym kominku poznaję ludzi; jeżeli on jest w zaniedbaniu, cierpiący tylko jako grat nieużyteczny—coś mnie odpycha od nich, odrzuca... I wiecie, że nie omyliłem się nigdy!

Cobyście powiedzieli o starszylackim domu, na którego kominku ogieńby przygasił?...

Tam coś i więcej przygasiło—

Wytłumaczę się—

Pan domu nie kocha ciepła, nie lubi myśleć, roić, marzyć, bo niema może o czym, poczem—obojętny mu jest ten ogień, który nie jemu tylko przyswiecał.

Śmiecie się— — Widzę, że czekacie ody „Do kominka!...”

A czy myślicie, że nie byłaby wspaniała?...

Żywy blask ognia, wijące się wstęgi czerwieni, chmura dymu, syjące się iskry, trzask walącego się stosu i kilka iskier jeszcze, żuzle—popioły—cały poemat!

Cha-cha-cha!... Zapalam się.

Niel... znam miarę i umiem panować nad sobą.

Chodźmy!

— Dokąd?...

W tej chwili wam powiem— —

Panopticum mnie nie nęci, choć tam lilipucia księżniczka Topas ze swoim mężem—Brylantem—śpiewem i tańcami wzbudza podziw w zaginionych na jej wzrost miniaturowy tłumach, a dumną będąc ze swojego wzrostu i tytułu, nie zawsze chce się pokazywać oczom ciekawych widzów i, choć nie jeden wydał trzydziestokopiejkową, li tylko w zamiarze urznięcia jej książęcej mości,—ona—wbrew afiszowym ogłoszeniom, pozostała gdzieś w ukryciu, a były właściciel trzydziestokopiejkowi musi się zadowolnić przeglądaniem panoram znanych mu, jak jego własna kieszeń, figur woskowych tak samo dobrze znanych—i innych nie nowych nowości, które, przebiegli przybysze z nad Sprei, zapowiadają co godzina niemal. Nie nęci więc mnie miniaturowa Topaz'owa, ni kilkoletnia siłaczka, której rozrost nadmierny mięśni nie może wzbudzać uczuć estetycznych; zadawał mi się nawet dziennikarskim sprawozdaniem i o człowieku o skórze kauczukowej, rozciągającej się tak, że wyciągnięta z pod szyi może mu za woalkę służyć, zasłaniając twarz całą—jakkolwiek nie zaprzeczam, że ten szczegół może zainteresować lekarzy, którzy zrobili już nawet propozycję szczególnej skórze... Przepaszam!—szczególnemu człowiekowi o szczególnej skórze—ażby pozwolił na sobie dokonać wiewsekcyi i kawałek jej (to jest—skóry) ofiarował do badań, których wynik ciekawy być może.

Tak więc, mijamy Panopticum. Zaszlibyśmy do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, ale wolimy tę wędrówkę odłożyć do chwili, w której więcej nowości przybędzie. Z wystawy u Krywulta zrobiliśmy kilka notatek, lecz brak czasu nie pozwolił nam rozejrzeć się sumiennie w nagromadzonych w wielkiej ilości obrazach końskich; na polu mokotowskim cisza, jak zawsze po każdej tragedii bywa, smutnie pogwizduje wprawdzie kolej willanowska, lecz gdy się wspomni sobie, że wiatr tam na polach zeszcłł liście niesie, i drogę niemi uściela, a gałęzie drzew stoją smutne i nagie—mimowoli szepcesz w duchu: „Pogwizduj sobie lokomotywo—niema tam po co jechać!...” Rzucasz wzrok na kopułę budującej się dioramy dla Golgoty przy ulicy Karowej—ale tam nie prędko zajdziesz, *Tatry* nie wykończone jeszcze—gdzie pójść, kędy się obrócić?...

A! stojmy!... przechodzimy właśnie koło księgarni Wendego...

— Czy nęci ciebie nowa książka?

— Nie—myśl ulepiona z gliny, czy w glinę zakłętą—niepospolity talent Biegasa.

— Kto on?

— Artysta.

— Zkąd?

— Z łaski Bożej—a szczegóły o nim są takie:

Urodził się na wsi jakiejś koło Ciechanowa, pisał bydełko na pola ojcowskie, ale w sereu chłopskiego dziecka biła krew gorączką wyższych jakichś pożądań, ale w jego głowie palił się ogień rozpalałny tchem tajemniczych natchnień. Nieraz może i trzodka w szkodę się gdzieś zabrała, i kij ojcowski zmierzył plecy chłopięce—ale on kozikiem figurki ciał w drzewie i marzył o lepieniu głów ludzkich z gliny; biegał także ukradkiem do pracowni jakiegoś rzeźbiarza *minorum gentium*—lecz to go niezadowoliło. Znudzilo go obracanie się wciąż w kółko i w kółko. Później zapoznał się z nim d-r Franciszek Rajkowski z Ciechanowa, wziął do siebie chłopaka i kształcić zaczął. Tu Biegas ulepił kilkanaście postaci, które urządził, przybyły w gościnę do doktora Rajkowskiego Aleksander Świętochowski.

— I co sądzisz?

— Widzę w nim *pazur* talentu—dosadnym swym stylem odrzekł autor „Duchów.”

Sprowadzono rzeźby Biegasa do Warszawy—przypatrzymy się im:

Oto *Wdowa*—dłoń trzyma na dłoni, ręce opuszczone ku ziemi, twarz w niebo wzniesiona, na policzkach dostrzegasz łzy. Dwoje dzieci u nóg się jej płaczą, lecz są jeszcze nieświadome nieszczęścia, jakie przynosi sieroctwo. To też jedno uśmiecha się, a drugie, odgarniając szatę matki, zagląda jej ciekawie w oczy. Ruchy, układ postaci są doskonałe—nie trzeba podpisu, by znaczenie tragedii poznać.

Święty Sebastyan—Biegas z opowieści o męczenniku tu postać stworzył. Ręce wzniesione, przywiązane do pnia obnażonego drzewa. Wydany już wyrok śmierci, a twarz skazańca dziwnym jaśnieje spokojem.

— Nie widzę cierpienia,—rzekł Świętochowski, ujrzawszy tę rzeźbę.

— A dyć on za wiarę umiera, to słodko mu być musi, że Królestwo niebieskie zobaczy.

Argument nie do zbitcia.

A oto widzimy parobczaka i wiejską dziewczę *Wtancu*. Twarze ożywione, wesołe, doskonale schwycony typ chłopski. Skrzypka gdzieś brzmi—huczy bęben... Dalej w tan!...

Spojrzyj tam: *Z pola* powraca matus i rozpłakanego dzieciaka prowadzi—a tam *Na fujarce* chłopak przygrywa. Pochylił głowę, dudkę do ust przyłożył i dmie.

Pełna doskonałej charakterystyki jest rzeźba, nazwana: *Wykalanie*. Wiejskie pastusze ma nogę okaleczoną, ostrz cierniowy w stopie mu ugrzązł. Usiadł więc a chłopiec drugi kolec mu wyjmując. Przypatruje się tej operacji dzieciak jakiś.

„*Potrząsanie*” to rzeźba, w której śmiałość póź przedstawianych postaci wprost zdumiewa. Uratował kmięć topielicę, przewrócił ją do góry nogami i trzęsie. Scena istic ludowa, a kto zna jego sposoby ratunku—prawdziwa.

Dalej: „*Mierzenie*” albo—„*Krzyżowanie*.” Rzec na tem polega że—ażby dziecko nie zwichnęło się i dobrze rośło, baba—znachorka krzyżuje niemowlę:

łokiec prawej rączki łączy z kolanem lewej nogi prawe kolanko z łokciem lewym—i dziecko ustrzeżone od nieszczęścia. Tę chwilę przedstawia Biegas. — Komoda zasłana kilimkiem, baba dziecko mierzy, z całą powagą—znawczyni.

Ktoś opowiedział Biegasowi o opuszczonej Agarze na puszczy. I oto widzimy wygnaną obłubienicę Abrahama z synem przy jej kolanach omdlewającym. „*Hagar*” siedzi, czoło wsparła na dłoni i myśli o szczęściu utraconem, o jutrze straszem. Nie rysami lecz smutkiem jest twarz jej piękna,—włosy w kędziory, jak zasłona żałobna, rozlały się po jej ramionach.

Widzimy więc, że sporo prac już nam dało chłopskie dziecko z pod Ciechanowa. Mogą tam być i są pewne wady rysunkowe, niedokładność gdzieś wykonania, te i inne braki—lecz z każdej tej kilkocalowej figurki bije prawda żywa, olbrzymi zmysł obserwacji, zdumiewające poczucie piękna. A ledwo czytać i pisać umie, i nie tak bardzo od ziemi odrosł.

Każdy, kto tylko widział rzeźby Biegasa—musiał dostrzedz ten „pazur” talentu i pomyśleć:

— Coby to z niego było, gdyby dać mu odpowiednią naukę!

O nie też więcej nie chodzi.

Lecz—przyznając talent Biegasowi, spierają się o to, w jakiej formie użyzyć pieniężnej pomocy małemu artyście. Niektóre pisma wprost mówią: „Złóżcie się i oddajcie chłopca do nauk!...” Inne powstają przeciwko takiej *zebrani*, nie widząc w nim jeszcze polskiego Anioła Michała, a gdy nim i będzie w przyszłości, to może nie będzie rad z pomocy wyzebranej. Więc „złożyć fundusz na ręce Towarzystwa zachęty Sztuk Pięknych, jako stypendyum, od którego pobierane odsetki mają iść na kształcenie przyszłych artystów. Korzystać z nich pierwszy będzie—Biegas, i—drażliwości usunięte.”

Tak—ale pieniędzy nikt nie daje. *Zachęta* nawet, nie otworzyła swoich podwojów dla rzeźb Biegasa, choć *tylko tam* powinno być ich miejsce.

Sporząc się o formę, rzecz sama nie posuwa się naprzód,—przypomina mi to bajkę jedną, w której radzono o pięknych uniformach dla żołnierzy, będących jeszcze na papierze — a tymczasem przyszedł sąsiad i za łeb wziął wszystkich.

Ale ten spór rozwiązuje pan St. Raniecki, aptekarz.

„Ciechanów, d. 25 X. 96 r. Na kształcenie Biegasa obowiązuję się niniejszem składać przez lat cztery po 25 rubli rocznie na ręce tego, kto by cię jego edukacją zajął.”

— Oto jest chyba najlepszy artykuł, jaki w sprawie Biegasa dotychczas napisano—dodaje. Prus w jednej z ostatnich kronik swoich.

A oto kronikarz „*Bluszezu*,” otrzymuje list następujący:

— „Obowiązuję się w ciągu lat czterech składać po rs. 5 na ręce tego, kto by się kształceniem Biegasa zajął.—Wybacz przyjacielu, że daję mało, lecz sam mam nie wiele. Kazimierz Gliński.—Warszawa d. 8 Listopada 1896 r.”

Panowie! Początek zrobiony.

Jedno mnie w rzeźbach Biegasa nieprzyjemnie dotknęło—to, na podstawie każdej figurki położone nazwisko—*Biegalski*. Po co to szlachcenie się, po co uznanie się tem, co już dziś nikogo nie uzanienia?—Mówiono mi jednak, że nazwisko to nie sam Biegas położył, lecz któryś ze złych doradców przyszłego artysty szepnął mu: że—„tak lepiej będzie!” My zaś innego jesteśmy zdania.—Strojenie się w cudze pióra nikomu jeszcze na dobre nie wyszło, a w tym wypadku zawezesnie rozwinięta u malca głupia ambicja i to w złym kierunku—moralną tylko szkodę człowiekowi przynieść może.

Przejdźmy teraz do innego przedmiotu.

Jedną z pożytecznych instytucji, jest *Schronisko dla nauczycielek*, mające na celu dać po latach pracy, steranym wiekiem i trudem pracownicom ciężkiego zawodu, przytułek i dobrze zasłużony spoczynek. Kto wie, a któż nie wie, co to jest zawód nauczycielski, ten instytucję wzmiankowaną musi postawić na miejscu naczelnem wszystkich zakładów filantropijnych.

Schroniskiem zawiaduje komitet z księdzem Zygmuntem Chełmickim, jako dyrektorem, kierownictwo zaś główne zakładu spoczywa w rękach doświadczonych pani Józefy Kamockiej.—Schronisko

jedno ma *ale*—jest niem zaszczipły lokal, nie pozwalający na udzielenie każdej z pensjonarek odrębnego pokoju. To jednak *ale* usunięte ma być wkrótce, ku czemu dał początek znany bankier warszawski p. Jan Bloch, ofiarując na rzecz Schroniska plac pod budowę domu znajdujący się na teorytorium dawnego młyna parowego na Solcu. Teraz chodzi tylko o zwiększenie funduszu budowy, ażeby najprędzej do dzieła przystąpić można było.

Obok placu przeznaczonego na dom dla schronienia nauczycielek, znajduje się plac inny jeszcze ofiarowany również przez p. Jana Blocha *Przytułkowi* dla osób niezdolnych do pracy, pod wezwaniem S. Franciszka Salezego. Opiekunką tego Przytułku jest pani Józefowa Weysenhoffowa, która umiała zakrzętnąć się około zebrania odpowiedniego funduszu tak, że już się wznosi na wspomnianym placu budynki obszerny, w którym Przytułek znajdzie wygodne umieszczenie.

Kto przechodził z ulicy Erywańskiej na Marszałkowską, ten musiał zauważyć, na zbiegu tych dwóch ulic ogromną posesję, na której, dawniej, właściwy był Pociąg, a teraz stoją budowle nieodpowiadające wcale piękności tych ulic. Otóż dowiadujemy się, że ta posesya przeszła na własność p. Bogumiła Hersego, który ma cały wygląd jej zmienić, usunąć znajdujące się na niej domy i domki, a zbudować o trzech frontach kamienicę wspaniałą, gdzie pomieszczone zostaną magazyny i pracownie starej tej firmy.

Ozas by pomyśleć było i o zrujnowanej lewej części ulicy Nowo-Miodowej.

??

Z międzynarodowego kongresu kobiet

W BERLINIE.

(Dokończenie).

W zajmujący sposób streściła p. Iza z Moszczeńskich Rzepecka przebieg kobiecego ruchu u nas. Od dwóch wieków wybijały się one na stanowisku niepospolitym talentem, jako poetki, powieściopisarki, autorki prac pedagogicznych, społecznych nawet filozoficznych, lecz właściwie dopiero Żmichowska wskazała właściwy kierunek działalności, wywarłszy potężny wpływ na współczesnych w połowie bieżącego stulecia. Kobieta jednak u nas nie tyle walczyła o swoje własne prawa, ile o wytknięcie sobie ścisłego pojęcia *obowiązków*, o ideę sprawiedliwości — dla wszystkich, a zasługą właśnie Żmichowskiej było rozpowszechnienie u ogółu koniecznej potrzeby zniesienia pańszczyzny. W Galicji kobieta współdziałała umiejętnie i dzielnie na polu szkolnictwa, znajdując dla siebie samodzielną pracę zarobkową, sieje swój dobroczynny wpływ, którego skutki i owoce okazują się już tak obfite, że istotnie tym pracowniczkom rozrzucenym po całym kraju prawdziwa się należy wdzięczność i uznanie. Dla poprawienia bytu materialnego pracują też w innych zawodach naukowych i praktycznych. Ogromne zasługi w rozświetleniu stanowiska kobiety położyła najsłynniejsza polska powieściopisarka — Orzeszkowa.

Ona to zaznaczyła dobitnie w swych poglądach, że do wywiązania się nawet z naturalnych i przyrodzonych swych obowiązków, żony, matki gospodyni musi kobieta umysł swój i świadomość oświecić, pogłębić, wykształcić, aby wypełnienie tych zadań tak ważnych odbywało się drogą jaką isć zwykły dusze dojrzałe i odpowiedzialność swą rozumiejące. Pracą usilną, energiczną, niestrudzoną, dochodzi się do celu. Zasady p. Orzeszkowej znalazły głęboki oddźwięk w umysłach społeczeństwa i stały się pobudką do nowych, a rozumnych zmian w pojmowaniu sprawy niewieściej, z których to pojęć wyłaniają się powoli istotne polepszenia warunków kobiecej doli. W Warszawie istnieje już liczne szkoły przemysłowe dla kobiet. Hr. Zyberk-Plater założyła szkołę gospodarczą, dwie szkoły handlowe będą otwarte niebawem (już jest jedna, a na drugą uzyskana koncesja) na innych polach handlu i przemysłu przystępują n. p. szwaczki, do cechów męzkich. Prócz tego jest w Warszawie 20 ochronek, jest ich też nie mało na prowincyi. Przytułków jest 39 w Warszawie, mieszczą one 6,000 dzieci. Są i przytułki macierzyńskie, dla nauczycielek Schronienie i Kassa Oszczędności, nie licząc już działalności dobroczynnych instytucji. W Zakopanem jest krajowa szkoła koronkarstwa, pod umiejętną dyrekcją pani Neuzilowej rozwija się pomyślnie, liczne już zastępy biednych góralskich dziewcząt wyszło z niej, jako ukończone koronkarki mając dobry zarobek w ręku już to z własnej pracy, już też przez dawanie lekcji koronkarstwa przybywającym na czas dłuższy do Zakopanego paniom, a lekcje takie wcale nie są płatne. We Lwowie jest szkoła przemysłowa, są kursa buchhalteryi, szwalni przy Stowarzyszeniu pracy kobiet, w Krakowie jest nowo założone gimnazjum klasyczne, Muzeum Baranieckiego dla kobiet, czytelnie kobiece już są we Lwowie, Krakowie i Poznaniu, przymtem pożytecznie działające „Towarzystwo oszczędności kobiet“ we Lwowie i tamże „Związek koleżeński b. seminarzystek i nauczycielek“ oraz kursa dla uczennic Seminarium nauczycielskiego, mające już swój dom, ogród i bibliotekę.

Z tego wszystkiego widać, że się kobiety Polki żywo krzątają, a choć w ogólnym chórze, dość różnorodnym za granicą, który upomina się o zrównanie kobiety wobec prawa z mężczyzną, najmniejszy może biorą udział, bodaj, czy nie więcej już zdobyły gruntu dla siebie, własną pracą i zasługą niż Niemki, chociaż te ostatnie tyle już powiedziały i tyle napisały w tej sprawie. Nader ożywione były posiedzenia omawiające stosunki handlowe i przemysłowe, wśród których kobieta pracuje z całym wysiłkiem swego zdrowia i czasu, a zapłatę ma zawsze niemal gorszą od pracownika płci męskiej i jest w różnorodny sposób wyzyskiwana przez fabrykantów i przedsiębiorców. Z referatów wynikało że taniość ogólna wyrobów krawieckich, magazynów ubrań, bielizny, przyborów mody i t. p. polega na krzywdzie — robotnic. Do łez wzruszyła słuchaczów mowa pani Teresy Schlesinger-Eckstein zdającej sprawę z ankiety dla robotnic w Wiedniu. Pani Lilly Braun i pani Zetkin w gorących słowach kreśliły stanowisko kobiety wyrobni i jej poglądy z odcieniem socjalno-demokratycznym. Półki ogólny stan ekonomiczny nie polepszy się, nie wiele złemu zaradzą takie poważne nawet instytucje jak „Hilfsverein“ w Berlinie liczący już 9,000 członków między pracownikami handlowymi. Szeroko też omawiane zostały zagadnienia dotyczące moralności, sprawy pokoju i przeciwdziałania wobec klęski alboholizmu, dalej opieka nad biednymi, chorymi, i stosunki domowe i rodzinne. Stosunkowo najmniej było referatów w dziale literackim i w dziale sztuki. Wyróżniała się tu prelekcja pani Natalii Mild, które mówiąc, o „Idealu nowoczesnej kobiety“ uzalała się, że dotychczas nie znalazł on wyrazu w literaturze europejskiej, oraz odczyt p. Elly Mensch mówiącej na temat: „Czego się może kobieta spodziewać od nowoczesnej literatury.“ Naturalnie, że wśród takiej mowy i referatów powodzi, wśród zetknięcia się tylu odrębnych indywidualności i odcieni zapatrywań na sprawę, znalazły się i dziwactwa i dyssonanse. Do takich oryginalności zaliczyć można wniosek pani Clapperten, Angielki z Głazgow, która narzekając na ogólne zepsucie obyczajów i widząc jego przyczynę w rozerwaniu rodziny przez ciężką pracę, proponuje aby się rodziny łączyły w grupy złożone z 20 rodzin; materialny byt się polepszy przy takim składowym życiu, a młodzież będzie miała sposobność bliską zapoznania się ze sobą i zbliżenia pod okiem starszych w tej grupie.

Ze pod względem finansowym byłoby to może korzystnie, wykazała prelegentka jasno, ale którażby rodzina chciała się pisać na takie gromadne życie w którymby ojciec tracił swą indywidualną powagę, matka swój wpływ osobisty, i tylko tak — wszystka ta czeladka pracująca żyłaby jakimś życiem gminowładnym bez istotnego pojęcia rodzinnego kółka. Ojciec, matka, dzieci, to całość; inne spółki dobre są dla *interesu*, ale nie dla idei domowej.

Wszystkiego znów — interesowi poświęcić nie sposób! Ileżby to nawet najuboższych rodzin wolało jeść suchy chleb a zostać u *siebie*, ze *sobą* tylko, a nie utonąć w gromadzie dla lepszej tego chleba okras! Nie, ten experiment nie udał się pani Clapperten, a podobno i nie w jej własnej powstał głowie, jeno roił się już Amerykaninowi Stantonowi Cloutowi. Do dyssonansów na kongresie należało starcie z panią Lilly Braun, która ogłosiwszy swój referat „o ruchu robotniczym kobiet w Niemczech“ urażona krótką ilością czasu (15 min.) jaką dano na wypowiedzenie takowego, stanęła wobec kongresu — *contra* kongresowi, twierdząc, że ruch mieszczański kobiet różni się wiele od ruchu kobiet-robotnic, które ze stanowiska socjalnego widzą w swej sprawie nietylko „sprawę damską“ ale istotną sprawę kobiety jako członka społeczeństwa i wyższe mają aspiracje niż dyplom doktorski lub kartkę wyboreczną! Większość kongresu uczuła się dotkniętą srodze, nie poszły uczestniczki na zebranie socjalno-demokratyczne robotnic, na które p. Lilly Braun zaprosiła, za co znów urażono się z tamtej strony. P. Lilly Braun-Giżycka, młoda, wymowna kobieta, z arystokratycznej rodziny pochodząca, wdowa po profesorze etyki, dopomagała długie lata w pracy swemu mężowi. Kierowała czas dłuższy pismami „Frauenbewegung“ i „Ettische Kultur“ a dziś jest kierowniczką ruchu robotniczego. Gorąca w słowie i logiczna w dowodzeniu, mimowoli wytknęła przed oczy ogółu braki w kongresie, który wprowadzie przez usta przewodniczącej zapowiedział, że bierze w rachubę obrad, „tylko to co ludzkie“ a na boku zostawia różnice poglądów politycznych, religijnych i t. d. jednakowoż zaraz wobec pani Braun zaznaczył *odrębność* właśnie swych przekonań, które powstrzymało tu uczestniczki od wzięcia udziału w zgromadzeniu robotnic.

Szkoda, że tak się stało. Kongres byłby *dojrzałym* postąpił nie drażniąc partyj na razie może przeciwniej i nie pogłębiał tego ro wu jaki właśnie zbyt nia a stronnicza żarliwość wykopuje między ruchem kobiet-robotnic, a ruchem kobiet-mieszczanek. Gdyby oba te prądy zbiły się w jeden, bezwątpienia owoc takiego bogatego w treść ideową i programową kongresu, byłby obfitszym, skuteczniejszym, a mianowicie odrzuca widoczniejszym w skutkach, co by przecie wypłynęło było stanowczego więcej prócz życzeń, skarg, żądań, sprawozdań i t. p.

Wprowadzie żaden kongres nie bywa ciałem prawodawczym ani administracyjnym żeby od ręki mógł zmieniać warunki, lecz przecież coś by można postanowić większego niż — reformy ubioru kobiecego, co naturalnie stało się tematem żartów i drwin po dziennikach.

Doktor medycyny Spener i p. Proels omówili tę sprawę z punktu widzenia higieny, wygod i piękna, przetrząsnęli przed oczyma kongresu każdy niemal szczegół damskiej garderoby i urządzili, że ubiór powinien być lekki, ciepły, wygodny, w kształcie szat królowej Ludwika, a specjalny magazyn w Berlinie zajmie się wyrobem takich sukien. Czy panie zechcą je nabywać i — nosić, da się to widzieć. Uczestniczki obce, mianowicie: z Anglii, Szwecji, Finlandyi, Danii, Szwajcaryi mówiły dużo o *wspólnej* właśnie pracy i dążeniach kobiet wszystkich stanów, o zniżaniu się jednych ku drugim, o ufnosci wzajemnej i łączeniu się w ogólnym celu polepszenia stanu ekonomicznego całej ludzkości. W pracach niemieckiego kongresu widniała — *partya* mieszczańska, wybitne właśnie wyosobnienie sprawy kobiecej od spraw politycznych i socjalnych. Czy to jest grunt urodzajny dla poważnej idei taka gleba odrębna, bez spójni z całością ludzkiego ruchu, oddzielona miedzami i płotami kolezastymi od innych grup społecznych tak przecie dobrze pracujących jak i burżuazya? To nader wątpliwe. Rozliczne sprawy i zagadnienia społeczne nie są przecie pozamykanymi w sobie kółkami, luźno toczącymi się w ludzkości, lecz są łańcuchowo spójone ze sobą jako pojedyncze ogniwa wielkiej całości, i dopiero wtedy mają ogólną, silną, podstawną rację bytu i dla samego siebie. Inaczej, nie wiążąc się z łańcuchem całości — zostają jako zsuwające się błędne kółka na uboczu i dochodzą do tego stanu niemości do jakiego właśnie ruch kobiety doszedł w Niemczech — pomimo — tak! pomimo wspaniałego kongresu, stu referatów, tygodnia rozpraw, setek uczestniczek i sympatyj prasy i publiczności. Czyja

sprawa nie łączy się ściśle, nierozzerwalnie ze sprawą ogólnoludzką, nie stanie nigdy na pewnych nogach, będzie zawsze miała w sobie coś sztucznego, egzotycznego, ubocznego, jak każda sprawa osobista jedynie. Ruch kobiecy skoro się oprze na masie kobiet, obejmie *wszystkie* ich potrzeby, zajrzy we wszystkie położenia, stosunki, klasy, we wszystkie pragnienia, prawa, nędzę, nieszczęścia i pokusy, zestrzeli dopiero wtedy istotne, najrzeczystsze warunki zmian koniecznych, a przemówiwszy w imieniu — wszystkich, zażąda — dla wszystkich, polepszenia bytu, bez boczenia się na różnice i odcinienie przekonań, bez egoizmu własnego stronnictwa, — wtedy dopiero porwie za sobą tę masę, tę naprawdę całą połowę ludzkości i dojdzie do lepszych, konkretniejszych wyników, niż konkurs berliński, z którego dobry, nawet świetny był mówca, ale nieszczególny — budowniczy. Kongres zakończył się świetną uroczą na 500 osób, rozdano bardzo ładne karty pamiątkowe ozdobione rysunkiem panny Jäger i wierszem p. Olgi Arendt-Morgenstern, a Ernest Wildenbruch ślicznym wierszem pożegnał ten wielki wiec niewieści kończąc słowami:

Dalej do dzieła! Myśl jeszcze chłodna
Otulająca męczyzny skroń
Niech się rozgrzeje przy waszem sercu,
Wy ją ujmijcie w gorącą dłoń!
Życie stwarzajcie! Kształt, krew i ciało
Niech przez was myśli uzyska duch —
A przez wasz urok, przez miłość waszą
Dobrym się stanie wasz twórczy ruch!

Szczęсна.

LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

Następny dzień był dla Jadwini dniem wyczekiwania i wzruszeń. Godziny się szybko przesunęły, wszystko szło dawnym spokojnym trybem, nawet Henryk zajmujący się gośćmi z zawsze równą uprzejmością i jednakowym ożywieniem wyglądał jakby nie pamiętał zamiarów powziętych dnia poprzedniego.

— Tchórzem jest, lub mnie lekceważy, — myślała Jadwina, na samo to przypuszczenie krew w niej wrzała i chciała biec do Henryka i powiedzieć mu ze wzgardą i wyniosłością: „nie chcę już ciebie“ ale próżność zawsze górowała nad myślami i szeptała: „Cierpliwości, wytrwaj, bo od szczytu twej drogi dzieli cię tylko jeden krok.“ Więc uśmiech spokojny i uprzejmy nie schodził z twarzy Jadwini i dla Henryka były także same uśmiechy, w słowach serdeczność naturalna, ani razu wspomnienia o ich wczorajszej rozmowie w oranżeryi, by się nie zdradzić jak bardzo jej na tem zależy, żeby wszyscy już wiedzieli, że jest jego narzeczoną. Henryk zaś tłumaczył sobie ten spokój bezgranicznym do niego zaufaniem.

Dzień mijał jak inne. Rano, po dość późnym pierwszym śniadaniu rozsypali się wszyscy po małych salonikach, bibliotece i fumoirze, grupując się według sympatii, wyrachowania lub uprzejmości. Grano w bilard, palono cygara, siedząc wygodnie w bujających fotelach, pisano listy, przerzucano pisma i książki świeżo wydane, a na małych kanapkach rozrzuconych po zakątkach zacisznych i odosobnionych flirtowano lub zabawiano się kosztem drugich.

Jadwina próbowała grać nowe walce, osoby muzykalne otoczyły fortepian. Ale muzyka tego dnia szła jej jakoś niegładko i z błędami, nuty tańczyły przed oczami lub zlewały się w jedną zbitą czarną masę, a wzrok tymczasem pomimo powiek wciąż umyślnie na dół spuszczonej, przez szparki kącików i ruchy głowy prawie niedostrzegalnie, śledził i kontrolował gesty i czynności Henryka.

— Poszedł do ojca, już nareszcie, — myślała sobie, gdy Henryk z salonu wyszedł na chwilę, a skoro się nagle ukazywał w drzwiach przeciwnych, rozmawiając spokojnie z którymś z panów bawiących chwilowo, płomień przebiegał przez oczy powiekami zakryte, a fortepian jęczał dysonansem, jakim nawet Wagner poszczycić się nie może.

Dzień był pogodny, zima ustalona, po południu na spacer wyjechano. Wybieranie i przejażdżka zabrały parę godzin, gdy wrócono czas już był przebiegać się do obiadu.

Podano do stołu, rozdenerwowanie Jadwini wrazało z każdą chwilą. Siedziała między Henrykiem i Zdanieckim, poufna rozmowa była niemożliwa. Zdaniecki tak był nią zajęty, że ani na chwilę bawić jej nie przestawał, dopiero przy trzecim daniu mógł Henryk zamienić z nią słów kilka.

— Posłuchaj co zamierzam. Wiesz jaką ojciec ma słabość do długich narad i dyskusji o każdym przedmiocie, to też, żeby uniknąć tych wszystkich narad i rozumowań z powodu naszych zamiarów, odrazu zaprezentuję cię wszystkim jako moją narzeczoną. Może to będzie przeciw formom i nie taktownie, ale wolę już tę zbrodnię wziąć na sumienie, niż zanudzać się przez parę godzin na bezcelowych debatach.

Jadwini serce biło gwałtownie, niepokój jakiś myśli ogarniał, niewytłumaczony, jakby złowieszczy, niepewność czy rzeczywiście ten pierwszy krok na drodze do fortuny i stanowiska, będzie tak tryumfalny i pełen blasku jak go od dawna wyobrażania jej w marzeniach kreśliła. Al! Nareszcie! już przestanie być tym marnym prochem, który błyszczał tylko wtedy, kiedy stał w obrębie aureoli rodziny bogatej! Nareszcie świat się dowie, że u jej nóg składa się pokornie szczęście i złoto, ludzkie pochlebstwa i wyróżnienia, bo będzie hrabiną Lubraniecką!

Obiad się zbliżał do końca, wznoszono toasty i zdrowia.

Henryk powstał i spojrzał na Jadwinę, a czyje zdrowie wniesie, nikt nie wiedział. Jadwina siedziała naturalnie, oczy miała spuszczone, uśmiech ciągle jednakowo spokojny i uprzejmy z ust jej nie schodził, choć wzruszenie za gardło ją dławilo i ciężarem gniołło piersi.

— Wnoszę zdrowie mojej narzeczonej, Jadwini D. — rzekł Henryk głosem donośnym, — gdyż jako moją narzeczoną mam honor przedstawić ją ojcu i wszystkim tu łaskawie zebranym.

Naraz zamarły wszystkie szmery. Oczy zgromadzonych zatrzymały się na Henryku i Jadwinie a później szukały tego, któryby na to hasło kieliszek z szampańskim do ust podniósł i pierwszy podałby ze słowami powinszowania. Nareszcie wszystkich wzrok utkwiał na Lubranieckim, lecz twarz jego mieniła się silnymi uczuciami nie wróżącymi nic dobrego, mroziła ożywienie, przed chwilą jeszcze tak przyjemne, ploszyła słowa, które mogły być skrócić przykrość wyczekiwania i ciszy. Lubraniecki był purpurowy. Głowę naprzód wysunął jakby mu w kołnierzyku zaciąsnęto było, i rzekł wolno, usiłując nadać głosowi dźwięk jaknajwięcej naturalny.

— Miło nam jest zawsze wypić zdrowie mojej siostrzenicy, — na wyrazie „siostrzenicy“ położył nacisk, nie chciał wymówić „narzeczonej mego syna.“

— Lecz nie dziw się mojemu osłupieniu, — dodał zwracając się do Henryka. — Szkoda, żeś mnie o tem przedtem nie uprzedził, nie spodziewałem się tej wiadomości.

— Chciałem, żeby radość z tej niespodzianki podzielili z papą nasi sąsiedzi i znajomi — i Henryk wychylił swój kieliszek, zrobili to za nim i inni, śląc dyskretne nieśmiałe słowa powinszowania, tylko dla formy, jakby tymczasowe, a z każdego z nich prześladało to przeświadczenie, że krusze i niepewne są mrzonki tych dwojga zakochanych, wola Lubranieckiego niedługo je pewno rozwieje. Do

widocznych uczuć Lubranieckiego stosowano skalę uprzejmości. To też w każdym spojrzeniu, które towarzyszyło lekkiemu skinieniu głowy, była nowa przykrość, która burzyła krew Jadwini. Ileż było lekceważenia, niezadowolenia, zawiści, złośliwego tryumfu i urągania w oczach tych wszystkich, których usta wymawiały uprzejmą formułkę.

Lubraniecki, Szańska i pani Zeneida poprzestali na umacnianiu ust w winie. Mieli na myśli tylko takie zarzuty i słowa, których nie dopuszczało na usta dobre wychowanie.

Jadwina bladła coraz więcej, ale jednak uśmiech, jakby zakamieniały siłą woli z ust jej nie schodził, dziękowała nim za toast i powinszowania szepciem prawie wymawiane, głowę do góry podniosła, jakby gotową była na dalsze urągania i pociski. Tymczasem z kolan jej na ziemię opadały szczątki wachlarza, który pierwszy padł ofiarą jej zranionej dumy, gniewu i upokorzenia.

Czyż to miał być ten tryumf tak dawno oczekiwany i upragniony? Gdzie ludzkie zdumienie i kądziła, któremi jak narkotykiem odurzała się już w myślach i marzeniach? Czyż takim było każde marzenie, ujęte w formę i sprowadzone w rzeczywistość? Gdzie rozkosz zawrotu jakiego się doznaje na szczytach, pod obłokami, z poczuciem wyższości nad całą przestrzenią, dokąd tylko oko sięga? Na szczytach jej dążeń chłód mroźny zawiął, do walki wzywał i upokorzeniem groził, zapowiadał, że rozdmuchnie świetne marzenia, zwarzy je jak kwiaty egzotyczne wystawione na chłód zimy.

Ciężka atmosfera panowała do końca obiadu. Rozmowa się rwała, żaden przedmiot nie interesował, wszystkich mścił czem innem były zajęte. Henryk o ile mógł starał się nie tracić kontensu, z Jadwiną rozmawiał swobodnie, pomimo to, gdy wstano od stołu lżej odetchnął.

W salonie przykre wrażenia obiadu zacierać się zaczęły. Pani Zeneida i Szańska gości bawiły, Lubraniecki rozdenerwowany i podniecony rozmawiał z księżną X.

— Tak, tak, jak się jest ojcem to ma się bezprzestannie kłopoty. Mój Boże! Prędzejby się wszystkiego spodziewała, aniżeli tej waryacyi Henryka! Avouez, czyż to nie waryacya chcieć zenić się ze swoją kuzynką! To przecież jest grzechem przeciwko przepisom kościoła! Co mi jest najprzykrejszem to to, że Henryk, wychowany w gruntownych zasadach religii, do tego stopnia mógł się zapomnieć. No, jeszcze jest tak młody, że mu to wszystko wybaczyć można, ale my starsi czuwać musimy nad postępowaniem naszych dzieci, dlatego też nigdy nie dopuszczę, by Henryk ożenił się z kuzynką. Nie, nigdy. Zbyt jestem gorliwym katolikiem.

— Niech pan nie będzie gorliwszym katolikiem od samego papieża. Jeżeli się bardzo kochają to pozwolenie otrzymaćby im można, i pogodziłoby się jedno z drugim. Kuzynostwo czwartego stopnia, zdaje się, to jeszcze nie tak bardzo bliskie.

Lubraniecki nie rad był z tej uwagi.

— Pozwolenie? Tak, kościół je daje, ale nigdy związków takich nie pochwala. W takim razie, prawdziwie gorliwy katolik, według mnie, starać się o nie nie powinien. Nie, nie dopuszczę nigdy do tego związku w imię zasad moralności. A co do miłości, nie przeczę, może tam jest jej trochę, ale gdy Panu Bogu zrobią z niej ofiarę, poświęcą ją, by poddać się Jego woli, jakąż wielką zasługą mieć będą w Jego obliczu i jakież dadzą dowód pokory chrześcijańskiej.

Lubraniecki był podniecony, w głosie znać było postanowienie, że za jakąbądź cenę na swoim postawić musi.

W duszy był uspokojony i rad ze swego pomysłu. Religia w samą porę się znalazła i można nią było bardzo naturalnie i wygodnie ubarwić teraz i w przyszłości przyczyn jego odmowy. Przykra pozycja wobec ludzkich sądów mogła się gładko i łatwo okrażyć gdy na materialnych wyrachowaniach i osobistych kombinacjach wywiesi się szyld z efektownie ubarwionym napisem:

„Posłuszeństwo przepisom kościoła.“

Godzina nie upłynęła a wszyscy zebrani goście, każdy z osobna w gawędce poufnej usłyszeli od Lubranieckiego podobne wyznanie o jego gorliwości w rzeczach religii. O ile poza temi głoszonemi oficjalnie przeszkodami do małżeństwa Henryka

nie szukano jakichś innych więcej osobistych—kronika nie wspomina.

Jadwinia wysilała całą swoją wolę i moc panowania nad sobą, by okazać się swobodną i żywioną. Siadła do fortepianu. Myślała, że może tym sposobem da kilka chwil odpoczynku twarzy i nerwom, uwalniając je od ciągłego naprężenia. Zaledwie kilkoma pasażami fortepian przebiegła, zauważyła, że Szańska tuż obok niej stoi i nuty przegląda.

— Pozwól moja droga złożyć sobie życzenia, — rzekła półgłosem, przez usta prawie zamknięte, tak, żeby tylko jedna Jadwinia słyszeć ją mogła, udając wielkie zajęcie czytaniem tytułów kompozycji muzycznych. — Winszuję, jesteś bardzo sprytna, praktyczna, o swoich interesach umiesz myśleć. Masz fach w ręku. Odkryłam w tobie wiele skłonności i zdolności na... pannę służącą, gdyż jak dotąd, romansowanie gdzieś poza plecami w sekrecie, było tylko ich specjalnością.

Przez twarz Jadwini przeszły płomienie.

— I to też jest umiejętnością, — odrzekła — dobra i taka wyższość nad tymi, którzy i tego nie potrafią.

Ala już Szańskiej nie było przy fortepianie, przyłączyła się do innej grupy, nie miała już nie więcej Jadwini do powiedzenia. Z sumieniem swoim była w porządku, uważała, że dopełniła rodzinnego obowiązku względem brata, okazując jego narzeczonej niezadowolnienie z projektowanego ich związku. Powodów niezadowolnienia nie byłaby umiała ściśle określić. Ot, trzeba było to potępić, bo potępiali to ojciec i pani Zeneida, która przed chwilą rozmawiając z nią na uboczu, wyraziła się, że Jadwini postępowanie jest haniebne, godne panny służącej. Podobno jej się to porównanie, zużytkowała je też jaknajspieszniej. Gdyby jej był później kto powiedział coś wprost przeciwnego, byłaby równie skwapliwie podbiegła ku Jadwini i rzuciła się jej na szyję.

Wieczór zdawał się nie mieć końca. Z zewnętrznego wyglądu wszystko było jak dni poprzednich, krzyżowały się spojrzenia, dowcipy i uśmiechy tak samo dużo było światła, dźwięków rozmowy i muzyki, nikt nie wspominał przykrych wrażeń obiadowych, a jednak ukradkiem każdy na zegarek spoglądał, by z Lubranieców wyjechać jaknajspieszniej, uwolnić się z tej atmosfery dusznej i przygnębiającej, która przypominała pewne dni letnie, kiedy cichną powiewy wiatru, ruch roślin zamiera a natura wylekła czy przygnębiona czeka nadejścia burzy. I tu sztucznym spokojem osób domowych burza się zapowiadała, i tu jak w naturze lęk panował, bo przecież burza gromy z sobą przynosi, a gromy burzy uczuć groźniejsze niż te, które obłoki wyrzucają, rany przez nie zadane przez całe życie sączą się czasem krwią serdeczną, tamte z obłoków przynajmniej na miejscu zabijają, sekunda i już nie ma świadomości, jest już koniec—może dla początku stokroć lepszego.

Ostatni to był dzień pobytu gości, rozjechano się też o ile można było jaknajwcześniej. Henryk ostatni-go gościa do przedpokoju odprowadził, reszta domowych została w salonie.

Jadwinia przy fortepianie nuty układała, pani Zeneida przebadzała się z Szańską, Lubraniecki palił cygaro. Nic nie mówiono, a rozumiano się aż nadto dobrze.

— Jadwiniu, — rzekła nagle pani Zeneida, — idź już spać, musisz być bardzo zmęczona, moje dziecko; zresztą, chcielibyśmy zostać sami, mamy do pomówienia o naszych rodzinnych interesach.

Ton mowy był uprzejmy, naturalny jak zwykle, a jednak słowa te były dla Jadwini upokorzeniem i zniewagą.

„Chcielibyśmy zostać sami, bo mamy do pomówienia o naszych rodzinnych interesach“ to znaczy: „odejść, bo nie chcemy cię uważać za należącą do naszych najbliższych. Nie dopuścimy cię do tego sanktuarium, kontentuj się okruciami naszych uczuć i fortuny.“

— Dobranoc — rzekła Jadwinia, twarz nie zmieniła się już pod żadnym wrażeniem, żaden rys tym razem nie zdradził burzy wewnętrznej, już była uzbrojona w spokój wyzywający, który przybrała na ciąg całej walki.

I wyszła. Nie spieszyła się, szła machinalnie nie widząc przedmiotów, które się jej przed oczami przesuwają, myśl tylko biegła w dal odległą i mgli-

stą a niepewną, biegła, gnana rozognionymi uczuciami, smagana gniewem, wściekłością, nienawiścią i pychą. Umrzeć lepiej aniżeli im ustąpić!

A walka sił dodaje i wytrzymałość wzmacnia. Tak, na przekór im wszystkim będzie hrabina Lubraniecka, musi, koniecznie musi, niema środka, któregooby po temu nie użyła, wszystko poświęci, by dopiąć swego a wtedy... wtedy... i szybko jakby za dotknięciem czarodziejki nie złota cudnych marzeń rozsunęła się w myślach Jadwini. A wtedy... będzie tryumf!

Weszła do ostatniego pokoju poprzedzającego przedpokój i klatkę schodową, w drzwiach przeciwnych ukazał się Henryk.

Odprowadziwszy ostatniego gościa powracał do salonu.

„Przez niego tylko może być tryumf“ przebiegło przez myśl Jadwini, lecz on nie powinien widzieć jej rozgniewanej i wyzywającej, możeby jej to trochę uroku odjęło i osłabiło pewność osiągnięcia celu, dla niego inna była twarz w repertuarze Jadwini.

I gdy zbliżyła się ku niemu, ból tylko i przygnębienie wypisane były w każdym rysie, a zdawały się być tak ciężkie i przygniatające, że wiotka postać Jadwini chwiała się i jakby ugięła pod tem brzemieniem zadużem na jej siły.

— Ach! To ty? — rzekła ze zdziwieniem jakby widokiem jego nagle przebudzona ze smutnej zadumy. — Jak to dobrze, że cię spotykam. Mam ci coś ważnego do powiedzenia, od czego nasze życie zależy będzie, a to jest... to jest... konieczne.

— Cóż to jest? — spytał Henryk zdziwiony temi słowami, a widząc, że wzruszenie siły jej zaczyna odbierać, delikatnie i ostrożnie objął ją ramieniem, by podtrzymać i uściśnąć.

Jadwinia robiła wrażenie nie zdającej sobie z niczego sprawy.

— Słuchaj, — rzekła wolno, a głos był przyciszony i smutny, jakby wyraził, w które się składał z trudnością wydobywały się z krtani gdyż były za ciężkie i bolesne.

— Mój drogi, przestań myśleć o mnie, ja ci tylko z sobą zmartwienie przynoszę. Uważam z całego postępowania, że ciotka Zeneida i twój ojciec nie życzą sobie naszego małżeństwa; nie chcą być powodem niezgody w waszej rodzinie. Wolę usunąć się, ustąpić, zmazać się z twojej egzystencji, pójdę w świat z moimi uczuciami i zmartwieniem, co tam... niech ja będę poświęcona, byleś ty miał spokój... usunę się... zapomnisz... ot i wszystko dobrze będzie... a o mnie uniejsza.

— Jadwiniu! Nie bądź dziecinna! ha! ha! to dobre! Jabym dla ojca fantazyi ciebie miał poświęcić? Nie. Ich wszystkich poświęci się dla ciebie. Oni nie warci jednej łzy twojej. O nie, nie wiesz do jakiego stopnia ja cię kocham, jeżeli myślisz, żebyś się ciebie mógł wyrzec dobrowolnie.

I Henryk rozogniał się coraz więcej widokiem przygnębienia Jadwini i jej dotknięciem.

— Wiesz co, — rzekł z zapałem, — byłby tylko jeden jedyny sposób, by uniknąć tych wszystkich nudnych i niesmacznych scen rodzinnych — uciekajmy. Teraz zaraz. Pierwszym pociągiem zagranicę, tam ślub weźmiemy i już koniec byłby tym zamieszaniom i wyczekiwaniami. Czy dobrze?

Jadwinia nie nie mówiła. W pierwszej chwili projekt ten wydał jej się zbawieniem i szczęściem, ale względy światowe powstrzymały ją od dania przychylniej odpowiedzi. Wechodziłby ukradkiem w dom Lubranieców, jakby boczną furtką, w ciemności i mileczeniu. A jej trzeba do szczęścia świetności i blasku...

— Nie, mój drogi, — rzekła po chwili, — poszłabym z tobą choćby na kraj świata, ale pomyśl tylko: czyżby ten krok nie ciążył nam później przez całe życie? Przyznaj, czyby nie przypominano sobie zawsze: „o, paui Lubraniecka, to ta, która uciekała, by wyjść zażam.“ Czyżby mnie to nie stawiało w jakimś dwuznacznym niemiłym położeniu? I czyżbyśmy tego nieraz w przykry sposób nie odczuli? Nie, mój drogi, zostawmy rzeczy ich naturalnemu biegowi, zobaczysz, wszystko się ułoży dobrze i pomyślnie. Postępuj jak uważasz za stosowne, ale zawsze pamiętaj, że ja chcę twojego, przedewszystkiem twojego szczęścia i spokoju.

W odpowiedzi Henryka nie było już żadnej nowej kombinacji, był tylko wylew uczucia serdecz-

nego i prawdziwego, przysięga powtarzana już może po raz tysięczny, lecz teraz jakby na nowo, na zawsze, uroczyste.

Jadwinia swoje robiła. Upewniła się raz jeszcze o swoim wpływie nad Henrykiem, pewną już była siebie i powodzenia. To też elastyczny ruch węża odnalazł się na zawołanie i zanim się Henryk spostrzegł, już się wysunęła z jego objęcia.

— Ach! Upadam ze zmęczenia i wzruszeń. Muszę już iść do siebie. Dobranoc. Bądź dobrej myśli.

I już jej nie było w pokoju. Szybko przebiegła przez przedpokój, na schodach się zatrzymała, by zebrać myśli. Usta się ułożyły do pogardliwego uśmiechu, oczy błyszczały wyzwaniem coraz śmielszym.

Ha! ha! ha! Na nie ich gniewy, docinki i ukłucia, Henryka pewną jest jak siebie, nie zniechęca go do niej, wiernym zostanie, odda jej swoje nazwisko i majątek, nie nie pomoże ich zawziętość; i Jadwinia upajała się myślą tryumfu i zwycięstwa! Nie ustąpi, musi swego dopiąć. Z natury silna jej wola kamieniała w zaciętość, oporem potęgowana, zraniona pycha rwała się z coraz większym szaleństwem do blasku i fortuny, żądała odwetu za niezaspokojone przykrości i nieuzasadnione upokorzenia.

„Nie chcę mnie bom biedna, bez bliższej rodziny, sama, i myślą, że mogą mnie dlatego upokarzać i poniżać. Nie, nie poniżam mnie! prędzej umrę a nie ustąpię! Przecież i ja mam prawo do życia i należy mi się chociażby trochę szczęścia!“

Odpychając ją! Płomień niepomahomowanych uczuć odziedziczonych z krwią południową matki bułgarki, rozbudził się i palił krew i serce, podsuwał nienawiść i zaciętość nieczem niezłamaną i chęć tryumfu i odwetu za rany piekące i dotkliwe. Umrzeć, lub zabić kogo z nich a zostać hrabiną Lubraniecką! Zabrać majątek i nazwisko, do którego jej tak zaszłości dopuścić nie chcą stanąć na piedestale i... drzwi wtedy!

Wolno idąc znalazła się na piętrze. Nie weszła do swego pokoju, lecz oparta o poręcz schodów stała zamyślona jakby wsłuchana w burzę wrzącą w jej umyśle. Cisza była niezmacona, na jej tle mogła swobodnie szaleć ta nawałnica, egzaltować i potęgować się własnymi echem, a cienie wieczoru, rozrzedzone ledwie trochę światłem jednej lampy, barwę swą czarną, rzuciły na uczucie i zaciemniały je coraz większą goryczą i nienawiścią.

Czas mijał a Jadwinia nie przerywała swego zamyślenia, i może całe godziny byłaby tak spędziła, lecz powoli myśli jej zaczęły się ubezwładniać i uciekać, cichła pomału burza, bo natura domagała się odpoczynku. Dzień cały był ciężki dla nerwów i organizmu, zmęczyły się wrażeniami i przymusem, by okazywać spokój i uczucia sprzeczne, zmęczyły się burzą w umyśle szalejącą, zmęczenie fizyczne odsunęło na bok wszystkie uczucia i Jadwinia machinalnie, myśląc już tylko o spoczynku i zapomnieniu weszła do swego pokoju i spać się położyła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SIOSTRY NAPOLEONA.

Karolina Murat.

Księżna Bergu i Kliwii, Królowa Neapolu.

(1782—1839).

(Dokończenie).

Dowiedziawszy się o zdradzie, Napoleon chciał jej jeszcze zapobiedz; próbował, za pośrednictwem Józefa Bonaparte nakłonić Muratów do cofnięcia ohydneho czynu. Gdy jednak Karolina niewzruszoną pozostała, cesarz pisze do Fouché'go.

„Zachowanie króla Neapolu jest nikczemnem; na postępowanie królowej, trudno znaleźć nazwę... Mam nadzieję, iż pożyję dość długo, by pomścić

zniewagę rzuconą Francji, by odpłacić za czarną tę niewdzięczność.

Cała rodzina Bonapartych potępiła niegodny czyn Karoliny. Szczególniej srogą okazała się jej matka; nie przebaczyła bowiem nigdy Muratowi, a na wszelkie próby zbliżenia się, ze strony córki lub zięcia, odpowiadała niezłomnie, iż zdrada i zdraycy wstręt tylko budzić w niej mogą.

Napróżno Murat, korzystając z pobytu Letycyi Bonaparte w Rzymie, przesłał jej w upomniku ośm najpiękniejszych koni, ze swej stajni. Dar ten wspinała odrzuciła ze wzgardą. Napróżno córka usprawiedliwiała się, iż traktat z nieprzyjacielem zawarty został bez jej wiedzy. *Madame Mère*, tak zwykle pobłażliwa, odpowiedziała z nieugiętością spartanki.

— W takim razie, mąż, po trupie twym dopiero, zdołałby ugodzić w serce waszago brata, dobroczyńcy i pana.

Było to bolesne, lecz niemniej Napoleon musiał abdykować, musiał iść na wygnanie, podczas gdy ona, Karolina, nie tylko tron swój zachowała, lecz nawet zdołała go umocnić. Píše też w liście do pani Récamier, że przyszłość wydaje jej się jasną i pewną, a spokojem opromienioną.

Nie chciała, czy niezdolna była dojrzeć, iż przeciwnie, na horyzoncie jej zewsząd gromadziły się chmury. Nie przeczuwała, że w dwa miesiące później Murat zmuszonym będzie opuścić Neapol, że w październiku, po klęsce wojsk swoich, zostanie rozstrzelany...

Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, iż przedtem robił wszystko, co było w jego mocy, aby się pogodzić z Napoleonem; z jednej bowiem strony, wierzył jeszcze w jego gwiazdę; z drugiej, nosił się z myślą o władnięciu całemi Włochami i zjednoczeniu ich pod własnem berłem.

Dwa te powody skłoniły go do podniesienia brońi przeciw Austrii. Pokonany, d. 3 maja, w bitwie pod Tolentino, wraca do Neapolu, w przebraniu żołnierskiem, a pożegnawszy żonę i dzieci, ucieka dalej, w cywilnych już sukniach.

Było to ostatnie jego widzenie z rodziną.

Opuściwszy Neapol, po wielu niebezpieczeństwach, wylądowuje na Ischii, ztamtąd zaś przedostaje się na ziemię Francji.

Napróżno jednak błaga o zbaczenie się z cesarzem: Napoleon odmawia. Na rozkaz jego wszakże, Murat zostaje osadzony, w wiejskim domku, w pobliżu Tuluzy, gdzie jest uważany poniekąd za więźnia stanu.

W dwa dni po ucieczce jego z Neapolu, do zatoki tegoż wpłynęła tryumfalnie eskadra angielska, z sześciu okrętów złożona. Napróżno królowa Karolina próbowała zawiązać układy z komendantem ich, lordem Exmouth. Odpowiedziano jej, iż czasy „układów“ minęły, oraz, że jeden z przybyłych statków przewiezie ją bezzwłocznie, wraz z dziećmi, na brzegi Austrii.

O oporze nie można było marzyć. Podczas więc gdy Anglicy płdrowali miasto, ładując na okręty broń i amunicję, znaną w miejscowym arsenale, była królowa Neapolu, wydana władzom austriackim, osadzona została w zamku Raimburg. Tu, w październiku, zdostała ją wieść o nagłej a strasznej śmierci męża.

Po klęsce pod Waterloo i powtórnej abdykacyi Napoleona, Joachim Murat chciał odzyskać królestwo Neapolu, tak jak niegdyś cesarz zdobył napowrót Francję, po powrocie z wyspy Elby. Szalony zamiar nie powiódł się; pochwycono Murat'a i postawiono przed sądem wojennym, którego kompetencyi uznać wcale nie chciał. Pomimo tego ogłoszono mu wyrok śmierci i, pozwoleńszy tylko napisać list do żony, w kwadrans później rozstrzelano.

Oddziałem karabinierów, przed który wyprowadzono skazańca, dowodził, jakby przez szyderstwo losu, generał neapolitański: Annunziata. To imię Annunziaty, noszone przez jego żonę, a zarazem przyczynę wszystkich nieszczęść Murata, było ostatnim policzkiem, jaki mu los wymierzał.

Murat'owi — dodaje Turquan — Francja może przebaczyć; jego żonie — przenigdy!

Zdetronizowana, Karolina przybiera nazwisko hrabiny Lipona, będące anagramem ukochanego wyrazu — Napeli, Neapol. Pomimo zapewnienia, danego przez Anglię, przy umowie z kardynałem Pelew, posiadłości królowej zostały skonfiskowane;

przyczem, osadzona w Raimburgu, nie miała prawa wydać się gdziekolwiek. Po długich dopiero rokowaniach, z przychylnym jej ks. Metternichem, otrzymała upoważnienie przeniesienia się do Tryestu.

Tutaj, dając wyraz dawniejszej sympatii, poślubia generała Macdonalda, adjutanta pierwszego swego męża, króla Joachima I-o. Macdonald, pomimo szkockiego nazwiska, był z urodzenia korsykańczykiem. Karolina, wbrew zawartemu związkowi, zatrzymała i nadal nazwisko hrabiny Lipona, lecz nie zatrzymała dzieci, które się rozpieczęliły po świecie. Córka jej, Letycya, wyszła za margrabiego Pepoli, do Bolonii, obaj zaś synowie, wyemigrowali do Ameryki. Achilles Murat, następca tronu neapolitańskiego, wywalczył sobie za ledwo miejsce urzędnika pocztowego w New-Yorku. Lucyan Murat, ożeniwszy się z Karoliną-Georginą Fraser, utrzymywał z nią razem, pensyonat dla panien.

Hrabina Lipona nie przedstawiała tymczasem nalegać na rząd francuski, o odszkodowanie za poniesione przez nią straty. Ludwik-Filip, pragnąc zjednać sobie bonapartystów, złożył Izbie deputowanych projekt, przedstawiający, że: ponieważ hrabina Lipona wyniesiona została do godności królewskiej, przez zwycięstwa armii francuskiej, ponieważ była siostrą cesarza Napoleona, należy więc, uwzględniając nieszcześliwe położenie, w jakim się znajduje, wyznaczyć jej pensją dożywotnią, w kwocie 100,000 franków.

Żądana zapomoga przyznana została. W ten więc sposób, Francja zapłaciła za zdradę tej, która pomogła do wymierzenia ostatniego ciosu cesarstwu, która dwukrotnie stała się przyczyną najazdu nieprzyjacielskiego na kraj własny.

W miarę ułożenia się stosunków, pozwolono jej nawet wrócić do Paryża, a następnie do Włoch. Zgasła we Florencji, d. 18 maja, 1839 r.

Zmarła wskutek raka w żołądku, dziedzicznej choroby Bonapartych. Ulegli cierpieniu temu z kolei: Karol Buonaparte jej dziadek, kardynał Fesch, wuj królowej Neapolu, oraz bracia jej: Lucyan i Napoleon Wielki.

Przebiegając, w ślad za Turquan'em, życie królowej Neapolu, zatrzymywaliśmy się tylko na punktach wytycznych, najważniejszych dla wewnętrznych dziejów cesarstwa. Wobec tego usuwał nam się z pod pióra, wizerunek jej, jako kobiety.

Niestety, nie jest on podniosłym, ani szlachetnym. Krańcowa niechęć, z jaką monografista opowiada życie księżniczki Bonaparte, znajduje, w tym jednym wypadku, oddźwięk pewien w sercu czytelnika. Być może, iż wpływa na to czarna niewdzięczność Karoliny, względem wielkiego wygnańca; dwulicowość, z jaką umiała wyrzec się własnego brata, w chwili najważniejszego dla niego przełomu.

Raz jednak opanowawszy to uczucie, nie możemy przemilczeć, iż metoda, jaką się posługuje Turquan, tendencyjną jest i niesprawiedliwą. Stara on się, z zasady, każdy czyn dobry księżniczki obniżyć, każdy rys zły, podnieść i uwydatnić. Bezstronny trybunał historii, nie znosi takich sądów. Słuszną też wydaje się obawa Turquan'a, iż nie jest on stosownym dla sióstr Napoleona malarzem.

Dziejopis, który się podejmuje uzupełnienia jego dzieła, będzie musiał uwzględnić zjawiskowość tych niezwykle postaci, podniesionych z nicości do korony. Kolej życia ich, noszące raczej cechy meteoru, niż normalnej egzystencji, każą do sióstr Napoleona wyłączać, a subtelną przykładać miarę. Bez niej niepodobna wyjaśnić ani psychologicznego rozwoju charakterów, ani wpływu, jaki wywarły księżniczki Bonaparte na obyczaje i losy pierwszego cesarstwa.

Anatol Krzyżanowski.

KONIEC.

Ze świata literackiego i artystycznego.

KORRESPONDENCYA ZE LWOWA.

Jesień tegoroczna, piękna jesień na lwowskim bruku okazuje nie mało życia, a przytem niezłe zbiory na polu literacko-artystycznym. Przyjrzyjmy się im zblizka. Oto półki księgarskie... z nowościami. Widzimy tu dzieła naukowe, nie wszystkim jednak smakujące, pomimo dzisiejszych czasów ogólnego dążenia do wiedzy i postępu; jest i belletrystyka dla tych, którzy nad chleb powszedni, przekładają łakocie, rozumie się, że tylko alegorycznie.

Z dzieł poważnych spotykamy pięć d-ra Józefa Siemiradzkiego: „*Na kresach cywilizacji*.“ Są to listy z podróży, po Ameryce południowej, odbytej w r. 1892. D-r Siemiradzki, zwiedzając ze swą karawaną Argentynę, Urugwaj i Paragwaj, słał stamtąd listy do *Wieku*, *Gazety lwowskiej* i *Czasu*; — ponieważ zaś listy powyższe podobały się ogółowi i zainteresowały go, przeto autor zebrał je w książkę, uzupełnił, poprawił i wydał. Zawierają one materiały interesujące i wartościowe; że tak jest w istocie, jak twierdzimy, niechaj za dowód posłuży fakt, iż Elizeusz Reclus do swego dzieła: „*La terre*“ czerpał obficie z notat i spostrzeżeń d-ra Siemiradzkiego, jako też niemieckie „*Geographische Mittheilungen*“ korzystały również ze zdobyczy naukowych polskiego podróżnika. Z wielką prostotą kreślone opisy nie posiadają efektów ani akcesoryów pisarskich, lecz za to niezliczoną ilość spostrzeżeń i treściwych opisów.

D-r Siemiradzki rozpoczął swą podróż od Montevideo, gdzie uwagę jego szczególniejszą zwrócił obelisk z białego marmuru, na placu konstytucji umieszczony, a obok niego kobieta zrywająca krępujące ją więzy. To aluzja do ostatniej walki o niepodległość Urugwaju. W Argentynie, w tym kraju rzeźników, jak go powszechnie nazywają, zbytek i próżniactwo, zwłaszcza u kobiet panują wszechładnie. Piękności argentyńskie, zwane przez rodaków „*portennas*“ o lilipuciach rączkach i nóżkach, posiadają naszą, wyszła już u nas z obiegu cywilizacją, której osi w tej mierze jest „*bębnie*“ na fortepianie (w Argentynie proszę to brać dosłownie) i francuzka konwersacja. Wieczorami odbywa się przyjmowanie przed bramą domu wizyt męskich i uprawianie tamże flirtu. Lubią błyskotki, hołdy, absolutne próżniactwo, gdyż praca wedle ich pojęć, jest poniżeniem godności osobistej. Żadnego sprawunku same nie załatwiają, ani za nie nie zanosząby go same do domu, choćby to były szpilki tylko. Klasę pracującą stanowią tam przeważnie Francuzi, jakkolwiek całą prawie Amerykę południową zalewają Włosi. Pośród emigracji spotyka się nie mało naszych rodaków. Z kobiet znane są p. Rościszewska i Warszawianki: p. Gannot i Barszczewski, p. Nowalewska i p-na Cybulska. Duży tom „*Na kresach cywilizacji*“ zawiera zbyt wiele interesujących szczegółów, żeby o nich choćby napomknąć w ogólnej pogadance, więc tedy o pięknej książce d-ra Siemiradzkiego skończywszy, przechodzimy do innych dzieł. Wyczerpującą rzecz o „*Ciemnych promieniach światła i roentgenowskich*“ napisał p. Zygmunt Korosteński znany z wynalazków z zakresu fizyki. A jakkolwiek w książce tej mówi się o takich uczonych sprawach jak cyklodynamiczna teoria promieniowania sił w ogóle, pomimo to, dzięki jasnemu i przystępnemu sposobowi pisania nie odstrasza ani prawdziwych erudytów ani laików.

Wielką przysługę piśmiennictwu naukowo szkolnemu oddał Maryan z nad Dniepru swoją książką p. t. „*Dzieje literatury ojczystej*.“ Napisane jędrnie, zajmująco, zgodnie z prawdą historyczną i biograficzną, przytem z dokładną znajomością umysłowości młodzieży, wydane nadzwyczaj starannie staną się niezawodnie najlepszym podręcznikiem do nauki literatury, zwłaszcza, że brak takiego podręcznika bardzo się czuć dawał. Może znajdzie zastosowanie w świeżo zreorganizowanych szkołach wydziałowych, gdzie literackiemu kierunkowi pozwolono rozwinąć się, nawet kosztem innych przedmiotów.

Dotychczas wyszła część pierwsza „Dziejów literatury.“—obejmująca dzieje piśmiennictwa do Jana i Jędrzeja Sniadeckich.

A kiedy już o literaturze mówimy, należy poświęcić słów bodaj parę dziełu St. Tarnowskiego: „*O dramatach Szyllera*.“

Pisane z głęboką erudycją, a przytem bezstronnie, co się temu autorowi dość rzadko zdarza, jest to świetne studium wielce cenną pracą, tak dla miłośników literatury jak i dla kształcących się. Zwłaszcza rozprawy o Walenszteinie, Maryi Stuart, Wilhelmie Tellu i Dziewicy Orleańskiej, to perły studyów literacko-krytycznych, pod każdym względem. A teraz przejdźmy do beletrystyki i poezji. Ta ostatnia nie szczyci się u nas w obecnym jesienym sezonie nowościami, ani bogactwem ani dobo-rem. Znalezione w papierach pośmiertnych po ś. p. Zygmuncie Kaczkowskim „*Pieśni z otchłani*“, „mar-ny, pseudo-humorystyczny poemacik p. Smolarza, któremu również nie udały się humoreski prozą, trochę porozrzucanych po czasopismach poezji, z których wybija się wiersz Adolfa Walewskiego, artysty teatru hr. Skarbka,—p. n. „*Bajka nieromantyczna*“, w końcu nowe wydanie świeżych poezji ks. Antoniewicza i powtórne wydanie poezji Gawalewiczę warszawskich, tutaj tylko nostryfikowanych, ot i wszystko.

Powieści zwracają uwagę rozmiarami i tak: Trzy duże tomy dobrej powieści Kontrymowicza p. t. *Książę Holuba, czyli Don Kiszot* XIX wieku (proszę się nie przerażać tem średniowiecznym „*czyli*“, powieść naprawdę dobra)—wyborne powieści bułgarskiej Wazowa: „*Pod jarzmem tureckim*“, spora wiązanka oryginalnych nowel rozmaitych autorów, oto cały prawie zbiór jesienny, zwłaszcza gdy w to wliczymy luksusowe wydanie „*Dziadów*“ Mickiewicza z ilustracyami Czesława Jankowskiego. Dla uzupełnienia niniejszego obrazu dodać należy, iż powstało u nas nowe pismo (w Krakowie) „*Wawel*“, poświęcone sprawom i sztuce kościelnej głównie.

Sezon odczytowy zaczął się i prosperuje po wszystkich czytelnich i instytucjach naukowych; tylko Koło literacko-artystyczne zapomniało o prelekcjach i prelegentach... Profesor Michał Lityński ma cykl cały odczytów z podróży swej po Grecyi; w Czytelnii dla kobiet mówiono o współczesnej poezji polskiej, a na listopadowy zjazd nauczycielek w 25-ciociele założenia seminarium nauczycielskiego, przygotowują cały szereg referatów z dziedziny pedagogii i metodyki. *Great attraction* obecnego ruchu towarzysztw stanowi bawiąca od dwóch tygodni we Lwowie Marya Konopnicka. Przygotowują tu dla niej uroczysty raut i przyjęcie w ratuszu. Inicjuje Czytelnia dla kobiet. Sztuka we Lwowie poniosła dwie straty: zmarł Marcei Zboński znakomity aktor, nieznównany w wydziale rol kontuszowych,—i Mieczysław Kamiński, niedysławny tenor opery lwowskiej, syn Jana Nepomucena Kamińskiego, twórcy sceny naszej. Teatr lwowski przebywa obecnie jakiś bolesny kryzys: dyrekcya objęta przez ludzi zupełnie nefachowych, a głównie interesujących na oku, wystawia przeważnie operetki, z których nowością jest sławna opera komiczna Smetany: „*Sprzedana narzeczoną*.“ Sztuk oryginalnych mało, z premierami jeżdżą po prowincyi, mimo, iż w Galicyi istnieją trzy prowincjonalne teatry i ledwo utrzymać się mogą—teatr lwowski wchodzi im w drogę. Rozgoryczenie panuje w kołach artystycznych ogromne, ogół narzeka zaś, że zmieniono stołeczny teatr na wędrowną trupę, że dyrekcya poangażowała osobistości nieodpowiednie i bez talentu; słowem stojemy w przededniu jakiegoś przełomu, oby na lepsze, bo to już czas najwyższy. Wystawiano niedawno: *Gasiennice*, Alfreda Konara, i węgierskie „*Bańki mydlane*“, lecz żadna z tych komedji nie zyskała sobie prawa obywatelstwa na scenie lwowskiej, a niestosowna obsada przyczyniła się jeszcze do tego, że upadły i nie znalazły sympatyj u publiczności.

Za to zupełnie innego przyjęcia doznały dwie inne, komedye, napisane postępowo,—a mianowicie komedya włoska Bracc'a p. t. „*Niewierna*“ ilustrująca z niezwykłą subtelnością walkę psychiczną pośród wytwornej atmosfery salonu; a druga wiedeńska komedya Sznitzlera p. t. „*Milostki*.“ Obie przyjęła publiczność i brać dziennikarską z entuzjazmem, jako posiadające rzetelną wartość literacką, oryginalne pod względem pomysłu i przepro-

wadzenia. Pierwiastek moralny obydwu tych sztuk jest dla nas kwiatem egzotycznym, aczkolwiek łatwo na każdym gruncie aklimatyzującym się. Nerw komedji, tkwi w pojęciu wyższego rejonu duchowego i żąda z uporem bozgranicznym, nieprzepartej, niezm nieskruszonej wiary w tych, których się kocha, choćby wszelkie pozory, nawet najjaskrawsze, przeciw nim przemawiały. Zdaje mi się, że taka wiara mogłaby być opartą jedynie na przenikliwości, że inaczej wyrazić się trudno: metafizycznej.

Ludzie bowiem, dopóty kierować się będą pozorami, dopóki są ludźmi; nie powiadam, że wyłącznie kierują się pozorami w wydawaniu sądów i opinii, ale twierdzą, że i pozory nie małą odgrywają rolę, a kto wie, czy w urabianiu sądów i wniosków, nie stanowią premissy większej. Taka to już ułomność ludzkiej organizacji, chybaby się wzniesł duchem przynajmniej do wysokości najpotężniejszych szczytów Tatr, by z tej wysokości patrzeć na ruchliwe mrowiska ludzkie,—a wtedy możeby pozór stracił na znaczeniu. A właśnie, dobrze że sobie przypomniałam, potraciwszy porównawczo o galicyjskie Alpy;—oto w salonie sztuki znajdują się Szkice Tatr, do wielkiej panoramy. Szkice te wszakże dają bardzo słabe pojęcie o panoramie, która kiedyś na miejsce „*Golgoty*“ pana Styki ma być umieszczona w rotundzie na placu powystawowym. Zresztą nasza wystawa sztuk pięknych nie posiada prócz kilku obrazków rodzajowych żadnych nowości. W dziedzinie rzeźb obfitość nie większa, a i te które są wystawione od dłuższego czasu, wyszły z pod jednego wyłącznie dłuta panny Dąbrowskiej.

Co prawda, dłuto niepoślednie. Czy studium, czy biust na zamówienie—zawsze wykona go p. Dąbrowska z nieprześcignionem zamiłowaniem, talentem i starannością. W malarstwie temi samymi przymiotami odznacza się u nas Pająkówna Aniela. Tyle o życiu artystyczno-literackim w stolicy Galicyi—reszta na przyszłą pogadankę.

J. Aleksota.

SUDAN.

Anglia od dawna pożąda Sudanu, teraz zaczyna go podbijać. Nic ją do tego nie zniechęci. Jest pewność, że wyrobnie bawelniane i żelazne w krótkim czasie panować będą nad tą częścią Afryki północnej, która się zamyka rzeką Niger, jeziorem Czad i Wyższym Nilem. Francya zawistnem okiem na to patrzy, bo i ona marzy o Francji afrykańskiej. A ta Afryka nie dawno tak spotwarzana, z każdym dniem staje się coraz potrzebniejszą dla egzystencji starej Europy.

Spojrźmy na mapę. Szukajmy obszaru tego kraju, który zwiemy Sudanem. Na wschód rozciąga się dolina Wyższego Nilu z wpadającymi do niego rzekami. Następnie jezioro Czad przyjmuje w siebie całą grupę rzek; jest to kraj tajemniczy, gdzie tyle szlachetnych ambicji marzyło o spełnieniu pięknych czynów... Dalej na zachód rozciągają się doliny Nigru, tej rzeki, która miała być francuzką począwszy od jej źródła, aż do ujścia w morze, tak jak to ma miejsce z Senegalem. Ku północy zbliżamy się do Sahary, na południe ku Atlantykowi.

Znajdziemy tam wszystkie klimaty, zacząwszy od gór z śnieżnymi wierzchołkami, okolice z klimatem umiarkowanym, aż do dolin zarosłe trawą.

Napotkać też można obszerne płaszczyzny, z ziemią wilgotną, ciepłą, tem samem urodzajną, gęste lasy poprzerzynane szlamowatymi rzekami, i szerokie rzeki, których wybrzeża zdają się oddalać horyzont. Ale są i piaski puste, i szereg skał nieurodzajnych, i bagniska, w których czarnem błocie żyją przedpotopowe rośliny.

Ludzkosc składa się tam z kroci ras, tysięcy plemion, plemion żółtych, czarnych, koczujących, wojowniczych, pasterskich. Spotkać można plemiona dzikie, jako też ludy cywilizowane.

Są tam sułtany, i królestwa, i cesarstwa. U pogan na południu jeziora Czad, stolice posiadają zaledwie kilka chałup słomianych, nad brzegami zaś Nigru, miasta są dobrze ufortyfikowane, gdzie za

grubemi murami bywa po sto tysięcy podwładnych rządzonych przez jednego wodza.

I któż to wszystko opisać? kto opowie ile rewolucji, ile wojen przeszło po nad głowami tych ludów? A jednak dramat historyczny Sudanu jest prosty, w kilku wierszach można go wykażać. Wschód i zachód zamieszkują czarni poganie, północny wschód zajmują żółci mułmanie, ci mułmanie którzy od wybrzeży Kongo, aż do Senegalu rozposcierali swoje panowanie, ale ileż to wieków, przeszło ile wojen przeprowadzić musieli, zanim dopięli swego. Dziś miejsce ich zastąpi biały Europejczyk. Jemu parę lat wystarczy do uchwycenia władzy. Koleje żelazne przedzierają się przez pustynie, parowce przepływają rzeki i jeziora, cywilizacja bieży szybko, nie zatrzymując się nigdzie długo. Tam, gdzie wczoraj przesiadywali poganie, gdzie dziś zasypia cywilizacja mułmańska jutro nastąpi, gorąca, namiętna walka, przekształcająca obecny stan rzeczy. Mieszkańcy Sudanu przyswoją sobie nasze maszyny, nasze domy, nasze ubrania i nasze zwyczaje.

Tam, gdzie dziś się wznoszą świątynie fetyszów i meczety prawowitnych, będą stały kościoły budowane podług planów architekta, a czarni poprowadzą do nich swoje panie ubrane po europejsku.

Miejsce kukurydzy pieczonej i piwa *sorgho* zastąpi herbata, a nawet sorbety i inne przysmaki naszych krajów. Pół wieku nie upływie, a Sudan dzisiejszy pozostawi po sobie tylko wspomnienie czegoś bardzo dawnego, czegoś bardzo barbarzyńskiego.

Ale czyż w istocie barbarzyństwem nazwać można to, co się tam dziś napotyka? Całego Sudanu nie znamy, lecz okolice położone nad Nigrem, nie tak dalece dzikiego nie przedstawiają. Mamy przed sobą notatki pewnego podróżnika, który w ten sposób wrażenia swoje opisuje.

Znajdujemy się w wielkiem mieście w stolicy zwanej, Oyo. Jest tu zwyczaj, że skoro jaki możny pan chce uczcić odwiedzającego go przyjaciela, wyjeżdża konno na spotkanie, przybrany w najpiękniejsze swoje suknie z całym dworem, a wszystko strojne błyszczą złotem i drogiemi kamieniami. Przędem biegają paziowie, niosąc szable, fuzje, piki. Słudzy prowadzą konia, pobudzając go do wierzgania i skakania, dalej idą muzykanci, i jeszcze konie, wszystko to postępuje głównymi ulicami miasta.

Na ten widok kobiety, dzieci, kupcy, przechodnie krzyczą, cisną się, ustępując żywo z drogi, bo prawo krajowe pozwala takiemu jeźdźcowi gnieść swoim pochodem pieszych, którzy mu zawadzają. Można sobie wyobrazić hałas i krzyki, bledaków, skoro usłyszą wołanie paziów: „z drogi“.

Szczególny bywa w tym kraju odbłask promieni słonecznych; wtenczas kiedy wszystko w koło jest czarne, smutne, szare, niby pogrążone we śnie i żałobie, pod drgającym światłem jasnego nieba nabiera dziwnie świetnych kolorów i zachwyca wzrok zdziwionego podróżnika.

Przypatrzmy się znów powstającej burzy. Woda leje się potokami. Ulice, ścieżki, całe miasto zamienia się w kanały, strumienie, rzeki. Ludzie chronią się pod wystawy i dachy domów. Na niebie tworzą się czarne pasy poprzerzynane czerwonymi i niebieskimi pręgami.

Wszystko to się zlewa w jakieś błyszczące stalowe masy nakształt szerokich kling wychodzących świeżo z rąk majstrów. W głębi na horyzoncie chmury zdają się rozsławać, a pomiędzy niemi jakby po za czarną gazą przesuwały się, białe niebieskie płomyki. Grupy drzew z liśmi czarnemi, zielonemi, szaremi, tworzą w dali jeden fiołkowy kolor. Po drugiej stronie na pagórkach wznoszą się chaty i domostwa. Wszystko to przedstawia się w perspektywie świetlanej. A jednak jest to nawałnica z całą swoją grozą.

Co tyczy się mieszkańców tamecznych, nie trzeba sądzić, że Afrykanie są ludzie zezwierzęceni, że w Sudanie zamieszkują sami barbarzyńcy. Wcale nie. Ci barbarzyńcy mają poczucie estetyczne.

Ich ciągły stosunek, z duchami, z geniuszami, z bogami, którym składają ofiary, nadaje ich życiu, nawet w okolicznościach najbłahszych, pewien oryginalny charakter wielkości, szlachetności i poezji, który może ujęć uwagi ludzi pospolitych, ale zawsze zajmie artystę. Ten naród śpiewa, tańczy,

ten naród ma swoich poetów i kocha ich, uczy się, powtarzając ich hymny i ballady.

Nie znają oni pisma, ale mają pamięć doskonałą.

Jedni z tych poetów mieszkają na dworach królów, opiewając różne legendy, myty, opowiadając dzieje swych władców.

Inni przebiegają kraj cały roznosząc swe pieśni, zabawiając ciekawych widzów. Przypatrzmy się takiemu wędrującemu poecie. Postępuje on z powagą pełną przesady. Ramiona i ręce przybierają ruch skrzydeł. Pstra chustka okrywa mu głowę, a spadając na twarz czyni go podobnym do Egipcjanina. Długa chusta niebieska, związana w pasie, wlecząc się za nim po ziemi, a na piersiach ma zawieszzonego fetysza drewnianego, którego starannie okrywa fałdami swej sukni ozdobionej różnymi kawałkami luster i blaszek.

Młody, silnie zbudowany o przyjemnej fizjonomii, pomimo, pomalowanej twarzy na białe i żółte, poeta ów ma w sobie coś nakształt kuglarza, a zarazem coś z trubadurów średniowiecznych. Rozpoczyna swoje pienia od wezwania bogów, dalej improwizuje wiersze na cześć pana domu i jego gości, tonem wzniosłym nieco cieniowanym. Głos jego drga jakby pociągnięciem smyczka. Melodya bywa znaną słuchaczom, bo powtarza ją chórem bez słów niejednokrotnie.

Spiew ten—pisze nasz podróżnik—musiał być nadzwyczaj męczącym, bo biedakowi krople potu spływały po czole, muskuły szyi silnie się naprężyły, a żyły na twarzy wystąpiły nakształt węzłów. Nie robił żadnych gestów, stał nieporuszony; oczami tylko przewracał, co miało nadawać jego melodyi wyraz ekspresyj.

Skończywszy swą pochwalną odę, postawił fetysza na ziemi, zdjął długą chustę niebieską, i ukazał się cały poobwijany wstążkami różnych kolorów, włożył na twarz maskę i zaczął tańczyć. Włóżył się, skakał, wykręcał krzyż i piersi, z wielką uciechą widzów, później obracał się z taką szybkością, że długie opaski jego kostiumu, skręcając się, robiły wrażenie tańca węzłów.

Wkońcu dał znak, że jest głodnym, była to odezwa do szczerobliwości widzów, a obdarowany hojnie jeszcze raz zaśpiewał na podziękowanie.

Wielu podróżników użala się na monotoność długich popasów, wśród krajobrazów do siebie podobnych, ale mylą się: przyroda Afryki przedstawia widoki nader interesujące. Tak np. opisuje młody turysta przejście przez Eruwa.

Jechaliśmy naprzód ścieżką wijącą się raz w dół, to znów wznosząc się do góry, po powierzchni chropowatej, pokrytej żwirem ruchomym albo też zupełnie śliskiej, obmytej deszczem, wygładzonej stopami przewodników. Po przebyciu skał, napotyka się ziemię gliniastą, dalej żwir kruchy, jeszcze dalej płaszczyzny przerywane małymi pagórkami, gdzie zielona gęsta trawa przeplatana jest często krzakami.

Drzewa nie wyrastają tam olbrzymie, są to fałszywe cynamony, kauczuki, pieprze, a wszystko karłowate; czerwone ptaki śpiewają w krzakach, pokrytych kwiatem. Można tu rozkosznie wypoczywać. Wprawdzie horyzont nie przedstawia się w całej okazałości, widok jest ograniczony: zielen do koda zdaje się zniżać niebo, i przekształcać to niebieskie sklepienie w sufit.

Gdzieindziej widoki są wspaniałe, przepyszne, olśniewające. Doznaje się uczucia dziwnego, patrząc na te perspektywy bez końca, na te horyzonty bez granic w pustyniach, na te konary drzew w lasach. Człowiek czuje się tu słabym, małym; budzi się rodzaj przestachu, gorączki w samem uwielbieniu tej wielkości; gdy tymczasem tam, przeciwnie, odczuwamy serdeczny słodki stosunek między sobą a naturą.

Szybko jednak niknie krajobraz jeden i drugi, wchodzi się w ziemię spieczoną, kamienistą o roślinności jakiejś suchej... I to trwa—miedugo. Bó spostrzegamy miasto, które zdala wydaje się jakby czerwona plama w pośród uśmiechającej się zieloności. Wielkie drzewa o grubych liściach kończą się przy wjeździe do miasta, i gdzieś indziej tylko wyglądają z po za szerokich ulic lub obszer-nych placów kamyczkowatych; strumyk bystro płynący przecina drogę. Wysokie trzciny, giętkie bambusy, pnące się rośliny, posypane drobnemi kwiatkami, otaczają domy i mury, przeglądając się w czystem zwierciadle wód.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Ministerjum skarbu, według informacji dzienników rosyjskich, rozpatrywać będzie wkrótce projekt ustawy o wiejskich warsztatach rzemieślniczych i o wysokości podatku od budowli miejskich na r. 1897.

— Minister spraw wewnętrznych w porozumieniu z ministrem skarbu wydał rozporządzenie, aby nadwyżki, uzyskane przy sprzedaży zastawów z publicznej licytacji w lombardach, składane były w kasach skarbowych lub w innych rządowych albo prywatnych instytucjach kredytowych. Prośby stron o wydanie nadwyżki nie podlegają opłacie stemplowej.

— Widowunią strasznej katastrofy była kolej Warszawsko-petersburska w pobliżu Białegostoku w dn. 10 b. m. Pociąg osobowy dążący ku Warszawie uderzył całą siłą na idący z przeciwnej strony towarowy. Dotąd, a piszemy to nazajutrz po katastrofie, liczba osób zabitych wynosi 8, a rannych mniej lub więcej ciężko z górą 30. Przyczynę katastrofy wykaże śledztwo.

— Salon artystyczny w Warszawie otwiera w pierwszych dniach grudnia wystawę gwiazdkową, która corocznie gromadzi bardzo wiele przedmiotów z zakresu sztuki stosowanej i czystej.

— Towarzystwo ogrodnicze urządziło na Bagateli wystawę złocieni (chryzantemów) oraz płodów jesiennych. Wystawa zapowiada się bardzo interesującą.

— Kwestya puszczenia w ruch samochodów w Warszawie i na prowincyi niezadługo pomyślnie rozstrzygniętą zostanie; p. Grodzki, przemysłowiec warszawski, zamierza kilka samochodów użyć do komunikacji pomiędzy Warszawą, a Pragą do ulicy Targowej. Mówią też o zaprowadzeniu komunikacji samochodowej pomiędzy Łodzią, a Kaliszem.

— Redaktorka „Kroniki rodzinnej” oświadcza w odezwie zamieszczonej na wstępie ostatniego numeru, że z powodu nawału pracy usuwa się od dalszego wydawnictwa.

— Świeżo ukazała się w handlu księgarskim piękna powieść Teresy Prazmowskiej p. t. „Serce.” Powieść przeznaczona jest dla dorastającej młodzieży. Książka jest wydana nader ozdobnie.

— W górę Wisły w tych dniach udała się komisya w celu obejrzenia robót regulacyjnych wykonanych w r. b. powyżej Warszawy. Z powodu obniżenia się temperatury roboty na Wiśle zostały zawieszane do roku przyszłego.

— Pomiędzy robotnikami fabrycznymi w Łodzi powstaje orkiestra; porozumiewając się z sobą, muzycy robotnicy przystąpią wkrótce do zorganizowania lekcji i powołania na kierownika jednego z artystów!

— We Lwowie pod egidą galicyjskiego akcyjnego banku hipotecznego zawiązało się towarzystwo do dystylacji drzewa w celu wyrabiania z trocin alkoholu. Kapitał nakładowy towarzystwa wynosi 3,700,000 koron, a może być podwyższony do 12,000,000 koron. Znawcy utrzymują, iż przedsiębiorstwo to ma ogromną przed sobą przyszłość.

— Dziennik wiedeński „Presse” z d. 1-ym b. m. przestał wychodzić. Należał on w swoim czasie do najpoczytniejszych pism w stolicy naddunajskiej, dziś jednak po 49 latach istnienia nie mógł wytrzymać konkurencyi z innymi pismami. W ostatnim roku był półurzędowym organem ministerjum spraw wewnętrznych, którego sprawami zarządza, jak wiadomo, hr. Badeni. W fejtynie swoim pomieszczał bardzo często sprawozdania z utworów Sienkiewicza, hr. Tarnowskiego, Koźmiana i innych. W życiu politycznym i społecznym Galicyi brał bardzo czynny udział. W ostatnim numerze zamieścił „Presse” sympatyczne wspomnienie o Zygmuncie Kaczkowskim.

— D. 3-go b. m. nastąpiło uroczyste zamknięcie wystawy w Budapeszcie. Przez cały czas trwania zwiedziło wystawę około trzech milionów osób, pomimo to jednak nie obejdzie się prawdopodobnie bez znacznego niedoboru.

— D. 4-go b. m. zmarła w Berlinie w 91 roku życia ks. Matylda Radziwiłłowa, z domu hr. Clary. Była ona matką generał adjutanta ks. Antoniego Radziwiłła, a żoną zmarłego w r. 1870 ks. Wilhelma. Zmarła mówiła bardzo słabo po polsku. Pozostawiła trzech synów i jedną córkę.

M Y Ś L I

Trochę nauki, oddala od religii, wiele nauki prowadzi do Boga.

Roger Bacon.

Najświeźsze zwycięstwo człowieka jest:—zwyciężać co bawi, pokonywać co zastrasza, znosić z cierpliwością co dolega.

Tomasz à K.

Zaiste, sama tylko cnota prowadzi do szczęścia.

Plato.

Moralność jest ostatecznym celem umiejętności i życia.

Tenże.

Niejedno dobre imię przyziemione, skalane, zatraczone zostało z powodu nędznej próżności.

Balnier.

Rozum i objawienie, to dwa promienie jednej i tej samej nieprzemiennej światłości bożej.

Bossuet.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: ark. 7 powieści p. t. *Dora*, przez Henryka Gréville. Przekład z francuskiego.

TREŚĆ: Ergo sum, przez Szczęsną. — Pogawędka, przez ??—Z międzynarodowego kongresu kobiet w Berlinie, przez Szczęsną. (dokończenie).—Lubrańce, powieść, przez Znieza (dalszy ciąg).—Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dokończenie).—Ze świata literackiego i artystycznego, przez J. Aleksotę.—Sudan.—Z bieżącej chwili.—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Dora*, powieść, przez Henryka Gréville. Przekład z francuskiego, ark. 7. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.